

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odosłanie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykle 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

ŚWIAT

Rok XII. № 7 z dnia 17 lutego 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie
„L'URBAINE”
Ulgi na wyp. niezł. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9785 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowski: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

**Pamiętajcie
o wpisach szkolnych.**
Wszelkie ofiary przyjmuje
Administracja „Świata”.

Ucieczka z niewoli.

Z ogólnej liczby legionistów przez dwa lata wyciężonych bojów załedwie tysiącpięćset naszych żołnierzy znajduje się w niewoli rosyjskiej. Jest to około dwa procent — odsetek tak minimalny, że rzadko kto podobnym rezultatem w wojnie obecnej pochwalić się może. Zwłaszcza, jeśli się zważy trudną i niebezpieczną służbę, jaką w tej wojnie legiony pełniły.

Legioniści oddają się do niewoli nadzwyczaj niechętnie. W okresach największego nawet przygnębienia nikomu na myśl nie przychodziło, aby pójść „do kadry kijowskiej”. Nad niewolę często śmierć przenoszą — w przeciwieństwie do żołnierzy rosyjskich, którzy „idą w pełn” radośnie niemal, z tempem zadowoleniem zmęczonych i wyczerpanych przerażeniem zwierząt. Ci zaś z legionistów, którzy dostali się w ręce nieprzyjaciela, nie tracą nigdy nadziei powrotu. Uroczę widziadło wolności; nie opuszcza ani na chwilę znużonych umysłów i wciąż do nowych wysiłków podnieca.

Zdarzają się tedy i powtarzają ustawicznie ucieczki z niewoli rosyjskiej.

Niema może takiej jednej kompanii w wojsku legionowem, któraby nie posiadała kilku bywalców po tamtej stronie frontu. W najrozmaitszych zdarzało się to okolicznościach.

Sławne były niegdyś wędrówki żołnierzy Drugiej Brygady podczas walk karpackich. „Relutoni”, którzy

tam się do niewoli rosyjskiej dostawali, wracali niejednokrotnie po kilku dniach do swojego pułku... najczęściej dobrze w żywność zaprowadzani, w towarzystwie kilku jeńców rosyjskich. Niezapomniane będą także przygody pewnego żołnierza z Pierwszej Brygady, który znalazłszy się w krytycznej sytuacji, wziął do niewoli cały sztab rosyjski i sam jeden przyprowadził go komendantowi.

W ostatnich czasach wielkie wrażenie wywołała ucieczka dra Matczyńskiego, lekarza 2 pp. Lp., który przebył rok w niewoli i zesłany do Saratowa, umknął stamtąd przy pomocy podrobionych papierów, niemal całą Rosję przejechał i po rozlicznych przygodach, zaciągawszy się do tak zwanej „polskiej brygady”, uciekł z pozycji w okolicach Baranowicz.

W tych wszystkich niezliczonych awanturach naszych legionistów objawia się zawsze ze szczególną siłą to wszystko, co jest ich swoistą wartością. Trzeba podziwiać ich niestrudzoną energię, wybitny dar orientacyjny, chytrych, spryt i zimną krew w najgorszych, najniebezpieczniejszych nawet sytuacjach. Ze zdziwieniem słucha się, jak ci młodzi chłopcy, którzy nieraz nie z Rosją nie mieli wspólnego, już po kilku tygodniach orientują się doskonale w miejscowych stosunkach, wyczuwają intuicyjnie wszystkie słabe strony organizacji i wyzyskują

umiejętnie chaos, który panuje we wszystkich instytucjach i urządzeniach rosyjskich. Dzięki temu właśnie osiągają najczęściej rezultaty pomyślne.

Niektóre ucieczki na terenie rosyjskim organizuje się tedy za pomocą środków niezwykle doskonałych. Legioniści rzadko nawet na pomoc Polaków w Rosji przebywających liczyć mogą. Bo ci niejednokrotnie w równie trudnym znajdują się położeniu, pozbawieni wszelkiego wpływu lub znaczenia. W przeciwnym zaś razie zupełnie bywają nieprzystępni.

Typowym przykładem takiej właśnie intuicji, takiego niestrudzonego pędu do wolności jest ucieczka Józefa Cwiekały, młodziutkiego sierżanta 3 pp. Lp. — ślązaka z pochodzenia, który przebył w niewoli rosyjskiej około pięciu miesięcy i teraz dopiero do swoich powrócił.

Przygody swoje tak mi poprostu, bez żadnej chwalby opowiedział:

Dostałem się do niewoli dn. 6-go lipca 1916 roku — podczas odwrotu z nad Styru. Pułk nasz znajdował się pod Polenbergiem*). Rozkaz odwrotu otrzymaliśmy dopiero wtedy, kiedy Moskale pojawili się na jakieś tysiąc kroków przed nami. Kompania ósma, do której należałem, została przeznaczoną na straż tylną. W silnym ogniu karabinowym, kiedy nieprzyjaciel już tak blisko nacierał, powstało pewne zamieszanie. Padł nagle ranny w nogę sierżant Czermak. Kiedyśmy to spostrzegli, postanowiliśmy z kilku kolegami ratować go. Wróciliśmy po niego. Zanim jednak zdołaliśmy go podnieść z ziemi i zabrać ze sobą, byliśmy już otoczeni

*) Miejscowość w okolicach Kostuchnowki, nazwana została „Polską Górą” przez żołnierzy niemieckich i austriackich na znak, że wszystkie oddziały legionowe w różnych okresach czasu spłaciły tu krwawą daninę.

i wzięci do niewoli. Odrazu zaprowadzono nas do komendy jakiegoś pułku, gdzie nas złączono razem z innymi legionistami i żołnierzami austriackimi. Moskali poznali odrazu po maciejówkach, kto jesteśmy. Śmieli się z nas i naigrawali, jak na jakimś przedstawieniu.

Z komendy pułku prowadzono nas dalej — piechotą. Eskortą zmieniała się. Raz byli to zwykli żołnierze z piechoty, to znowu kozacy. Szliśmy razem z oficerami naszymi, nie jedząc, przez cztery dni aż do miasteczka Polisy. Ciężko było wytrzymać — osłabieni, wlekliśmy się powoli, krótkimi marszami. Większą część dnia i noc całą leżeliśmy po polach strudzeni okropnie. W Polisie rozdzielono nas. Oficerowie pojechali w dalszą drogę koleją — nas zaś popędzono dalej do Żołdzka. Tam znowu oddzielono od nas żołnierzy austriackich — zostało 130 legionistów. W Żołdzku przesiedzieliśmy dwa tygodnie. Zjechali się wyżsi oficerowie rosyjscy i zaczęli nas badać. Każdy się naturalnie wykreczał, jak mógł. Kto się tylko wytłumaczyć umiał, temu już spokój dawali.

Po zbadaniu odesłano nas do obozu jeńców, który jest w Darnicy w gubernii kijowskiej.

Zaraz po tem całym zajściu, zabierali nas jednego po drugim do kancelaryi, bo oni tu w Darnicy mieli swoje własne biuro werbunkowe, i tam nas ostro rewidować zaczęli.

Przeszukali nas porządnie i zabrali wszystko, co tylko znaleźli. Nawet listy, pamiątki rodzinne, karty z widokami, całą korespondencję i medale. Kto się wzbraniał cokolwiek oddać, z tym obchodzili się po barbarzyńsku, brutalnie — bili, kopali i najgorszymi obrzucali wymysłami. Nierzadko stary żołnierz polski od podłego Pepika usłyszał:

— Ty polska świno!

Po tem wszystkim zaraz zmiarkowałem, że tu niema co miejsca zagrzewać, tylko trzeba się jakimś sposobem z Darnicy najprędzej wynieść. Nie chciałem za nic w świecie patrzeć na to wszystko, ale gdzieindziej szczęścia szukać. Widziałem i dowiedziałem się, że z Darnicy coraz odchodzą transporty jeńców na robotę. Z temi transportami nam legionistom chodzić nie było wolno. Opowiadali nam, że tu do nas przyjedzie nasz pułkownik Minkiewicz razem z generałem rosyjskim i będzie się z nami widział. Na to mieliśmy czekać. Ale ja o tem nie myślałem nawet. Postarałem się więc o

czapkę austriacką i zaraz drugiego dnia, kiedy wywoływali do roboty polaków, Czechów i Słowaków — poszedłem razem z innymi. Wieźli nas przez dwa dni aż do Żytomierza. Tu podzielili nas na partye od 30 do 50 ludzi i rozesłali po większych gospodarstwach. Ja dostałem się do właściciela dóbr polaka. Wpierw jeździłem w konie, potem drzewo w lesie rąbałem. Sprzykrzyło mi się rychło to wszystko. Widziałem, że nic z tego nie wychodzi. Po trzech miesiącach tego marnego życia poszedłem do naczelnika powiatu i prosiłem, żeby mnie wysłał z powrotem do Darnicy. Długo już myślałem o ucieczce, teraz postanowiłem wziąć się do tego naprawdę. W Darnicy spotkałem się z naszym lekarzem pułkowym, dr. Grossem, który kazał mi przyjść do siebie, żeby z nim pogadać. Został lekarzem szpitala w Darnicy. Ale ja już na to czasu nie miałem. Mój płaszcz wymieniłem na płaszcz rosyjski, bluzę i spodnie kupiłem za 5 rb. Żołnierze rosyjscy handlują tem wszystkim gorzej jeszcze, jak żydzi. A z naszych płaszczy robią sobie cywilne kożuchy i chętnie na swoje zamieniają.

DN.

Stanisław Dzirkowski.

Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.

Z frontu walk rumuńskich.



Wojska austro-węgierskie i niemieckie na polu walk pod Campina.



St. Norblin. Portret p. Szylling.



St. Norblin. Portret p. Pfeiffer.



J. Bobińska-Brzezińska. Wanda.

Warsztat krawiecki Legionów polskich w Krakowie.

Warsztaty Legionów polskich założone zostały staraniem Departamentu Wojskowego N. K. N. w grudniu 1915 r. zrazu na małą skalę i dopiero stopniowo zostały rozszerzone do rozmiarów dużej fabryki konfekcyjnej. W budynku odstąpionym przez gminę miasta Krakowa przy ulicy Karmelickiej 51 umieszczone były wszystkie działy pracowni, których systematyczny opis pozwala wnikać w całość funkcjonowania warsztatu.

Z magazynu surowca, umieszczonego w suterynach, wydawano wszystkie materiały do przykrawalni, w której przykrawano je na trzech nowoczesnych maszynach elektrycznych. Przycięty materiał składano w osobnej ubikacji, gdzie go partiami wydawano robotnikom, wpisując to każdorazowo w ich karty ewidencyjne. Pięć wielkich sal na pierwszym piętrze i parterze zajmowało urządzenie maszynowe, dostarczone przez firmę Singera w Krakowie, a poruszane czterema motorami elektrycznymi; składało się ono z 70 maszyn do szycia, trzech maszyn do obrabiania dziurek, dwóch maszyn do przyszywania guzików i jednej maszyny do obrzucania strzępiących się materiałów. Robotnice, zajęte przy maszynach, mogły osiągnąć przy korzystnych warunkach pracy, dzięki popędowi motorowemu maszyn do szycia, znaną biegłość w pracy, zdumiewającą każdego zwiedzającego, choć zwiedzającymi byli wielokrotnie znani fachowcy w tym dziale pracy.

Robotę wykonaną, po jej dokładnem zbadaniu i ocemieniu, składano w magazynie podręcznym, skąd wydawano ją kolejno do maszynowego wykończenia, to jest obrobienia dziurek i przyszywania guzików, następnie do wykończenia ręcznego, a wkońcu do prasowania.

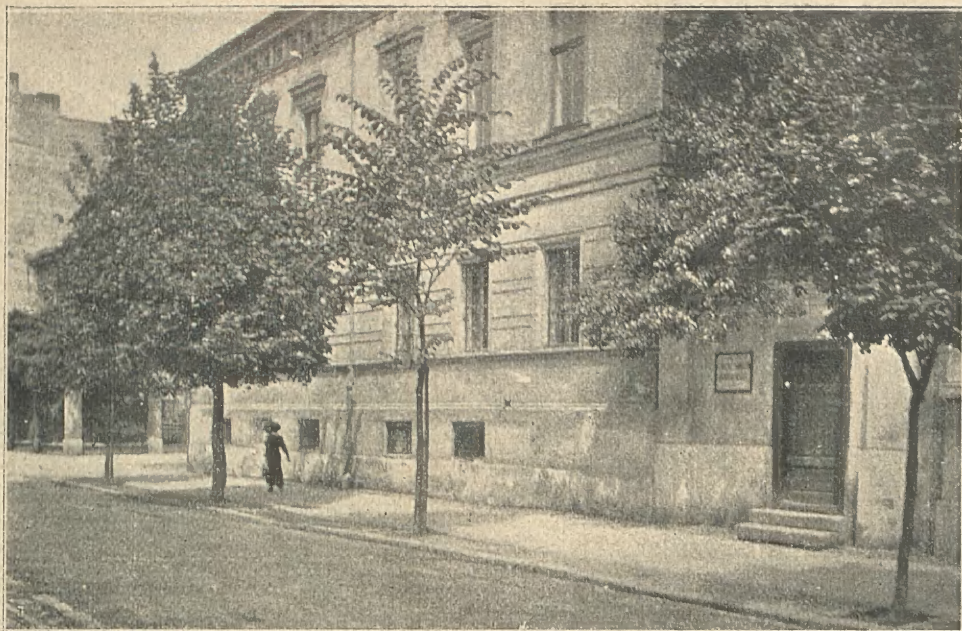
Oprócz wymienionych działów prowadzona była stale pracownia czapek, zatrudniająca przy daleko idącym podziale pracy kilkanaście robotnic.

Pozatem istniała pracownia srebrnych i złotych haftowanych odznak oficerskich, która zaspokajała całe istniejące w tym kierunku zapotrzebowanie.

Personel zatrudniony w warsztacie osiągał liczby 130 robotnic, prawie wyłącznie matek, wdów, sióstr i córek legionistów i żołnierzy-polaków, oraz pięć sił cywilnych po za przydzielonym personelem wojskowym.

Prawie cały personel (około 95 procent) był płatny akordowo, co nader korzystnie wpłynęło tak na wydajność pracy, jak i na osiągnięte zarobki.

F.



Gmach, w którym mieszczą się warsztaty krawieckie legionów.



Sala maszyn.

Na widowni — z tygodnia.



Baron UGRON, delegat ministerium spraw zagranicznych, reprezentant Rządu austro-węgierskiego w Warszawie.



Ks. GOLICYN, prezes ministrów rosyjskich, którego rządy wywołują ferment wśród sfer politycznych.



Ks. ABRUZZOW, głównodowodzący flotą włoską, zrzekł się dowództwa wskutek braku węgla i starej konstrukcji statków wojennych.

Polska ekspozytura w Rapperswillu.

Praca, polegająca na uświadamianiu opinii europejskiej w sprawie polskiej, obecnie zakrojona jest na wcale szeroką skalę. Tem ciekawszą stanie się kiedyś historia jej skromnych początków, z których powoli, ale konsekwentnie rozwijało się wszystko, co dzisiaj tak wybitnie funkcjonuje. Ta historia początków związana jest ściśle w pierwszym rzędzie z nazwą Rapperswilu i z tamtejszą ekspozyturą legionową.

Ekspozytura rapperswilska powstała w chwili wybuchu wojny z jednego z pięciu istniejących podówczas za granicą biur prasowych lwowskiej Rady Narodowej. Podczas bowiem, gdy pozostałe cztery biura (w Paryżu, Londynie, Rzymie i Chicago) albo żadnej roli nie odegrały, albo poszły za wskazówkami politycznymi grup Legionom mało przychylnych, biuro rapperswilskie odrazu stanęło na gruncie zbrojnej walki z Rosją o niepodległość i zgodnie z tem oraz z ówczesnymi warunkami miało utworzony dn. 16-go sierpnia 1914 r. Naczelny Komitet Narodowy za organ kierowniczy politykę polskiej. Treścią zaś działalności biura stało się odąd popieranie na wszelki możliwy sposób idei legionowej.

Pierwszą troską, o ile się nie chciało ograniczyć do manifestacji platonicznych, musiało być ułatwienie polakom ze Szwajcarii, pragną-



Członkowie polskiej ekspozytury w Rapperswillu: pp. Wład. Neuman, Tad. Szpotański, Stan. Zieliński, Wład. Baranowski, K. Bader, Józef Jankowski, Al. Dębski (jr.), M. Dąbrowska, D. Zielińska, A. Kaczowska, J. Kulczycka.

cym walczyć w polskich szeregach, przejazdu przez granicę austriacką i dotarcia do Legionów. Staraniem panów: Zielińskiego, kierownika biura, oraz Wistowskiego, udało się to wykonać jeszcze w pierwszym miesiącu wojny: dn. 31-go sierpnia 1916 r. 76-ciu młodych ludzi wyruszyło do kraju. Poselstwo rosyjskie w Szwajcarii, zdążywszy się o całej akcji wywiedzieć, zwróciło się do rządu szwajcarskiego z żądaniem wytoczenia obu wymienionym panom protestu o naruszenie neutralności Szwajcarii przez werbunek ochotnika do

armii państwa prowadzącego wojnę. Istotnie, dn. 10-go września p. Zielińskiego aresztowano i uwięziono (p. Wistowski opuścił był Szwajcaryę wraz z całą ekspedycją); po dwutygodniowym atoli więzieniu śledczym sąd wojenny piątej dywizji w Zurychu uwolnił oskarżonego od winy i kary, przychylając się do jego argumentacji, że werbunku nie prowadził, ponieważ wysłani przez niego do kraju polacy oddawna już przygotowywali się do wojny z Rosją, należeli do odpowiednich organizacji i wcale nie potrzebowali być werbowani.

Później jeszcze przewijali się przez Rapperswil poszczególni ochotnicy, przybywający z państw koalicji lub z Ameryki, między innymi ś. p. Radliński z Brazylii, który, kilkakrotnie w drodze do Europy zawracany, uparcie trwał w postanowieniu, i dotarłszy wreszcie na teren wojny, zginął w jednej z pierwszych potyczek.

Z postępem wojny rosły agendy biura tak, że obowiązkiem ściśle prasowym w swojej dotychczasowej postaci nie było już w stanie sprostać. Z wiosną tedy 1915 r. postanowiono dział prasowy zupełnie wyodrębnić; na kierownika zaś powołano w czerwcu dr. Karola Badera, do owego czasu działającego w Bazylei. W październiku zaś wyodrębnione biuro prasowe przeniosło się do Berna przy jednoczesnym rozszerzeniu. Stworzono mianowicie dwa departamenty: jeden dla Szwajcarii niemieckiej i krajów niemieckich pod kierownictwem dra Badera, drugi dla Szwajcarii francuskiej i krajów



Członkowie ekspozytury przy pracy: Al. Dębski (jr.), St. Zieliński, J. Kulczycka, J. Jankowski.

romańskich pod kierownictwem p. Władysława Baranowskiego, który od listopada 1914 r. aż do wybuchu wojny włoskiej prowadził ekspozyturę medyolańską i na tem stanowisku oddał nieocenione usługi.

Od tego czasu ściślejsze biuro rapperswilskie objęło jako swój dział głównie pośrednictwo między krajem a zagranicą. Zwłaszcza informowanie innych placówek zagranicznych, w ciągu wojny w różnych miastach pozakładanych, wymaga olbrzymiego nakładu pracy. Mniej efektywną, ale niezmiernie pożyteczną czynnością jest także pośredniczenie między prywatnymi osobami, a mianowicie między członkami rodzin polskich rozproszonych przez wypadki wojenne. Statystyka przedstawia się tu imponująco.

Zewnętrznym wyrazem stałego rozwoju pracy szwajcarskiej może być liczba osób, które dawniej brały w niej udział i które dziś w niej udział biorą. Na początku było ich dwie: państwo Zielińscy. Przez pierwszą zimę wojenną, dzięki czasowemu przyjazdowi paru osób z kraju, trzy, cztery lub pięć, zależnie od chwili. Obecnie w Bernie i Rapperswilu pracuje osób szesnaście i dla podolania zadaniu nie jest ich bynajmniej zbyt wiele.

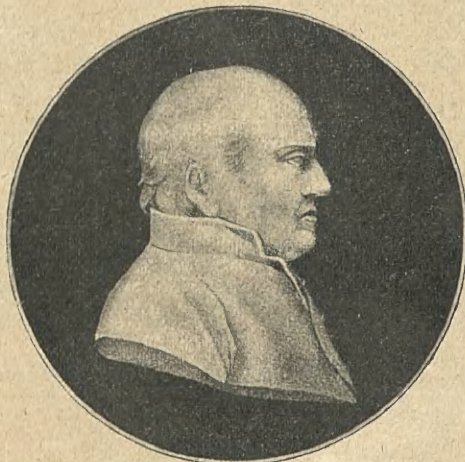
D. W.



W setną rocznicę Onufr. Kopczyńskiego.

(† Dnia 14 lutego 1817 r.).

Jeszcze ojcowie nasi uczyli się gramatyki języka polskiego z dziełka ks. pijara Onufrego Kopczyńskiego. Zasady jego przetrwały po dziś dzień, choć no-



Ks. Onufry Kopczyński.

wsi badacze języka ojczystego odnaleźli wiele w gramatyce Kopczyńskiego niekonsekwencji. Nie był Kopczyński pierwszym gramatykiem; przed nim zjawily się już prace systematyzujące prawidłą masze językowe. Jego jednak podręcznik, wydany w 1778 roku, zyskał sobie największe prawo obywatelstwa i do

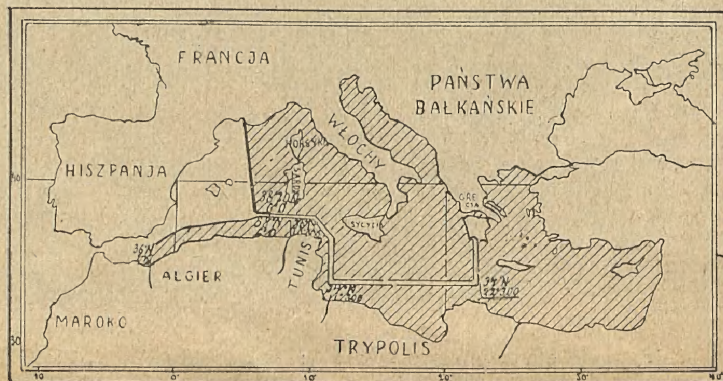
końca 18 wieku był 11 razy przedrukowywany. W 1816 roku otrzymał Kopczyński medal pamiątkowy, który mu wręczono na nadzwyczajnym posiedzeniu Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie z napisem „Merentibus patriae”. Urodził się on w 1735 roku w Czerniowie, w województwie grodzieńskim. Uczył się u Pijarów w Warszawie i Podolińcu. W r. 1752 przywdział sam sukienkę zakonną. Od 1756 roku był profesorem retoryki i literatury w Kolegiatach pijarskich w Polsce. Był bardzo czynnym współpracownikiem zasłużonego na polu szkolnictwa ks. Konarskiego i Ign. Potockiemu współdziałał w jego zabiegach o podniesienie poziomu oświaty w Polsce. Po powstaniu Kościuszkowskim Kopczyński musiał wyjechać z Polski i dopiero dzięki zabiegom ks. Czartoryskiego mógł powrócić. Oprócz gramatyki wielkiem wzięciem na swój czas cieszył się jego „Elementarz dla szkół parafialnych i narodowych” (1784). Kopczyński na warszawskim bruku był postacią bardzo popularną. Krążyły o nim setki facecyi. Ludność Warszawy otaczała go miłością i uznaniem. W setną rocznicę jego śmierci wspominamy ze czcią zasłużone dla nauki i oświaty w Polsce nazwisko Kopczyńskiego.



Zaostrzona blokada morska.



Państwa centralne ogłosiły blokadę wybrzeży angielskich, francuskich i włoskich. Strefa wojny podwodnej otacza Anglię i brzegi Francji. Morze Śródziemne zamknięte prawie całkowicie z wyjątkiem części zachodniej przyległej do Balearów, prowansalskiego portu Cette i brzegów śródziemnomorskich Hiszpanii. Wązka, 20 mil morskich zaledwie szeroka, ściśle wyznaczona droga rezerwuje flacom neutralnym możliwość dotarcia do brzegów Grecji. Na Atlantyku wolne pozostały również brzegi Hiszpanii. Dostęp do Szwecji, Danii i Holandii początkowo zamknięty zupełnie linią poprzeczną między duńskim archipelagiem Far Oer a Norwegią powyżej Bergen, w dwa dni później otwarto został wąskim przejściem u norweskich portów przy równoczesnym odsunięciu linii zaporowej od brzegów Holandii.





Grupa amatorów strażaków, którzy odegrali „Flisaków” i „Łobzowian” na scenie w Rawie, ze swym komendantem p. K. Zalewskim na czele.

Teatry warszawskie.

TEATR POLSKI: „Dom otwarty” M. Bałuckiego, TEATR LETNI: „Polakożercy” M. Swobody i TEATR NOWOCZESNY: „Lola Cornero” M. Kaldenburga.

Aleksander Zelwerowicz, reżyser Teatru Polskiego, pokazał Warszawie starą i ograną komedię Bałuckiego „Dom otwarty” w nowej szacie inscenizacyjnej. Potrafił wydostać ton krakowskiego kołtuństwa w sposób dyskretny a dosadny, czem nieustannie pobudzał widownię do śmiechu. Satyra Bałuckiego nabrała życia i znane, wielokrotnie słyszane słowa napęliły się aromatem świeżości. Sytuacje wodzirejowych kłopotów bawiły szczerze, bo też Zelwerowicz wydostał z zespołów wszystko, co tylko było możliwe, by całość szła składnie i pozostawiła w słuchaczy artystyczne wrażenie troski o dyskretną rodzajowość. Kto nie zna „Domu otwartego”? Kto nie widział Kamińskiego, jako aptekarza? Kto nie pamięta Sikorskiego w tej roli? A jednak Zelwerowicz potrafił pokazać, grając tę rolę, zupełnie nową kreację. Jego aptekarzyna jest poważnie matolkowata. Śmieszy swoją wołową celebracją uroczystości balowej. Fikalskiego grał p. Kuncewicz. Jest to jedna z lepszych ról tego artysty. Parę zakochanych grali pp. Janiczówna i Żytecki, tworząc miłe sylwety. Wszystkie przytem postacie balujących były doskonałe.

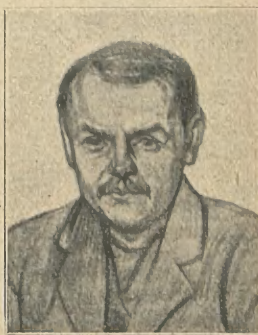
Teatr Letni wystawił oryginalną, trzyaktową sztukę p. Mieczysława Swobody p. t. „Polakożercy”. Nieprawdopodobna fabuła zepsuła nawet wcale niezłą robotę teatralną. Fabuła ta przytem jest wielce ryzykowna. P. Swoboda chciał pokazać, jak w żandarmskim oficerze odradza się polak, gdy dowiedział się przypadkowo z ust domniemanej matki, że zaginał jej w dzieciństwie na Syberii. Później wzięto go w szeregi kantonistów, wychowano na rosyjskiego

żandarma. Cała ta historia dzieje się w epoce strajków robotniczych, a więc w dziesięć, piętnaście lat przed obecną wojną. Kantonista wobec tego powinien być starcem, bo to za Mikołaja I oddawano polskie dzieci do kantonów, a jest młodym i zakochanym porucznikiem. Skończy się ta nieprawdopodobna historia wysłaniem oficera żandarmów za granicę. Zresztą mniejsza o sens tej całej historii! Dla ścisłości jednak trzeba zaznaczyć, że „oficerem oddzielnego korpusu żandarmów” mógł być tylko szlachcic dyplomowany. Dziecko zagubione na Syberii po taką „godność” nie mogło nigdy sięgnąć. Tyrady patryotyczne w ustach żandarma raziły i budziły niesmak. Artyści przykre te a nieprawdopodobne prowokacje żandarmów grali sprawnie. Nie należy jednak brać dyrekcyi za złe, że wystawiła tę nieudaną sztukę p. Swobody. Tylko przez kontrolę kinkietów teatralnych pisarz sceniczny widzi swoje błędy. Sądząc z dawniej napisanej sztuki „W okopach”, p. Swoboda nie jest bez zdolności, a więc trzeba było, by zobaczył, na czym polega nieporozumienie w jego koncepcyi.

Doświadczenie jest najlepszym nauczycielem. Niech więc się też nie zraża p. Swoboda chwilowem niepowodzeniem i bezwzględnością krytyki.

Dla p. Gryficz-Mielewskiej wystawił Teatr Nowoczesny pod nowym tytułem starą farsę niemiecką o „Loli Cornero”. Zdrada małżeńska jest tematem tej trzyaktowej ciężkiej satyry na berlińczyków. Teść i zięć zapłonęli równocześnie do uroczej tancerki. Zięciowi po tarapatach udało się wydostać ze szponów podejrzliwej teściowej. Młody pan wróci do swojej żony, ale starszy pan nie tak łatwo okupi swoje domniemane winy. W roli tytułowej pokazała się p. Gryficz-Mielewska, która i na ten raz z temperamentem i wdziękiem odtwarzała kapryśną Lolę. Zięcia-urwisa z werwą i dużym komizmem grał p. Gasiński. Wystawa staranna.

E. C



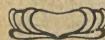
Kajetan Sawczuk.

W szpitalu praskim zmarł d. 6 lutego r. b. utalentowany poeta i znany działacz ludowy Kajetan Sawczuk. Zmarł, zwalony pierwszą chorobą, przeżywszy za ledwie lat 26. Urodził się on w ziemi podlaskiej, we wsi K o m a r n o. Skończył szkołę wiejską, lecz pragnienie oświaty uczyniło żeń jednego z najciekawszych typów naszego samouctwa. Pojechał na kursy rolnicze do Sokołówka, gdzie żywa jego inteligencya budziła wśród profesorów szacunek. Już w 1912 roku wydano w Warszawie zbiorek „Pieśni Kajetana Sawczuka”. Wiersze te w formie prostej spowiadają entuzjastyczną duszę uspołecznionego chłopca polskiego. Ziemi karmicielce też wyśpiewał Sawczuk piosenki swoje serdeczne i nieuczone. W najbliższej przyszłości zjawi się tom ich pokazy z przedmową Stefana Żeromskiego. Sawczuk był gorliwym propagatorem hasła „Zarania”, które redagował p. Miłgaj-Malinowski. Podczas wojny wstąpił w szeregi aktywizmu polskiego i był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. Kajetan Sawczuk wśród młodzieży wiejskiej cieszył się wielką popularnością. Był wyborem i przekonany agitator idei niepodległościowej, którą szerzył jeszcze przed wojną.

Ś. p. Wincenty Lemański,



znany adwokat warszawski, wybitny praktyk w dziedzinie prawa cywilnego, zmarł w 57 roku życia w Drewnicy. Ś. p. Lemański przyjmował gorący udział w życiu politycznym i społecznym. Podczas rewolucyi bronił honorowo przestępców politycznych przed sądami wojennymi.





Irena Ferens, uczennica szkoły dramatycznej, którą w tajemniczy sposób zamordowano d. 3 b. m. na ulicy Sadowej w Warszawie.



Uczniowie szkół średnich w Berlinie pomagają przy sprzątaniu ulic.

Restauracja „ALKAZAR”

ul. KRÓLEWSKA № 11.

10225

WYKWINTNA KUCHNIA—PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA—CENY UMIARKOWANE—GABINETY.
Poleca **wina** z piwnic **J. Lijewski i S-ka**.
Z poważaniem **Henryk Herbst**.

PURGOSAN

Pastyłki
czyszczące



10200

Warsz. Tow. Akc. „MOTOR”, Marszałkowska 23.

Wielka
oszczędność

Mydłobor

Doniosły
wynalazek

w taflach funtowych.

Najnowszy wynalazek chemiczny prof. Felicjana Borysławskiego, zatwierdzony przez J. E. p. szefa Administracji przy J. G. Warszawskiem za № IV c. 10688.

Pierwszorządny środek do prania bielizny, jedwabiu wełny i do mycia ciała, nie zawiera absolutnie szkodliwych substancji. Żądać we wszystkich pierwszorzędnych składach aptecznych i mydlarniach.

Reprezentant na ziemię Warszawską, Litwę i Wołyń
Br. Rydzewski, Marszałkowska 33.

Nie niszczy
bielizny.

SPRZEDAŻ:
Marszałkowska 55, Wielka 41 m. 50,
Biała 7, m. 8.

10224

Znakomicie
myje ciało.

PISMA

Gabryeli Zapolskiej

Modlitwa Pańska. Z ilustracjami St. Sawiczewskiego. Rb. 1.—

Pani Dulski przed sądem. Z ilustr. kop. —.60

Ich czworo. Tragedya ludzi głupich w 3 akt. „ —.60

Panna Maliczewska. Sztuka w 3 akt. „ —.75

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

15017

KAZIMIERZ EHRENBURG

15050

CZASY TERAŹNIEJSZE

Cena rubli 2.20 z przesyłką 2.50.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Pamiętajcie o wpisach szkolnych.

Wszelkie ofiary przyjmuje Administracja „ŚWIATA“ Zgoda № 1.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 17 lutego 1917 roku

Nr 7.

I ty, Brutusie!

W chwilach dziejowych, w momentach najsilniejszych przeżyć narodowych, wszelkie indywidualne przeżycia i uczucia osobiste muszą się podporządkowywać idei narodowej. W chwilach, gdy miliony czują, jak jeden mąż, i jako jeden mąż milują, gardzą i nienawidzą, znika poszczególna jednostka. W chwilach spotęgowanego przez miliony uczucia, każdy poszczególny śpiew poety, czy jęk człowieka musi się stać wyrazem całego narodu.

Naród odpowiada za poetę i poeta za naród. Słowo jest syntezą czynu — a czyn pieśnią.

W krzyżowym ogniu walki, w pożodrze krwi powstają dzieła wielkiej miłości i wielkiej nienawiści. Ogniem, mieczem i krwią zapisują się karty narodowe. W rytm huku karabinów i karabinów dzwoni pieśń, która się rozbija w dziesiątki poszczególnych akordów.

Jaką będzie pieśń, co stanie się jej zasadniczym mottem: umiłowanie własnego narodu, czy nienawiść wroga, ukochanie całej ludzkości, czy potępienie szkodliwej jednostki? Wszystkie motywy wplatają się w jeden łańcuch, wszystkie dzwieją kolejno. Czy jednak zaważy najsilniejsza miłość, czy nienawiść, zależne jest w zupełności od struktury duchowej poety.

W ton gniewu uderza raz po raz Richard Voss. Sędziwy epik, marzyciel sztuki, piewca natury, odtworzący przyrodę z niebywałą plastyką i odczuciem, cichy poeta — zbudził się nagle i jak zraniony lew,

wydał okrzyk szalonej grozy i gniewu, dając księgę „Świętej nienawiści”.

Przekonania polityczne Vossa nie grają najmniejszej roli. Zdarza się, że poeta czuje politycznie, ale chyba nie myśli politycznie. Książkę o świętej nienawiści podyktowało Vossowi uczucie nienawiści oślepiającej samego autora, a i niejednego czytelnika.

Znacznie głębszą od „Świętej nienawiści” najpoczytniejszej książki w Niemczech, jest druga powieść Richarda Vossa „I ty, Brutusie!”

Wszystkim „niemcom, którzy Rzym i Włochy kochają, a którzy sprzeniewierzeniem się włosków wstrząśnieni są do głębi”, książkę tę autor poświęcił. A więc wszystkim niemcom, dodaje wydawca.

Sam tytuł zamyka w sobie żal, ból i gniew za niespodziewaną i niezasłużoną zdradę. „I ty, Brutusie!” brzmi przykro i pogardliwie w ustach jednego z najgorętszych wielbicieli Rzymu. Należał on bowiem do tych, o których na wstępie swojej powieści mówi: Szczerze, serdecznie ukochali Niemcy Rzym i Włochy, mówiąc z patosem „o swoim Rzymie” i „swoich Włoszech”, nie mając do tego innych praw, prócz praw świętej miłości tej cudnej ziemi i sztuki, miłości, idącej z pokolenia w pokolenie. O świętej, bo idealnej miłości mowa będzie w tej książce. Mowa tu będzie i o ciężkiej przewinie Niemców, o zbyt silnym kochaniu Włoch i braku miłości siebie samych. I o tem, jak grzech ten

odpokutować muszą, będzie tu mowa. Bo „wszelka wina mści się na ziemi”. Książka w tym duchu poczęta odrazu staje się wyraźną w tendencyach autorskich. Wiadomo, pod jakim kątem widzenia stworzone będą typy, jaką drogą pójda bohaterzy, i jakie mniej-więcej konflikty zajdą pomiędzy nimi. Nie to zainteresuje w powieści Vossa. Tutaj najciekawszą jest strona autobiograficzna, albowiem pod postacią artysty malarza, profesora Rudolfa Müllera, Voss przedstawił siebie samego. On i drugi bohater rzeźbiarz, Henryk Weber, są przedstawicielami niemieckich artystów: pierwszy starszego, drugi młodszego pokolenia. I obu spotka jednaki los, który podobno już wielu spotkał w kraju tęsknoty i marzeń: młodego zniszczy namiętność, jaką w nim rozbudziła przepiękna włoszka, starego zaś zniweczy fanatyczne uwielbienie Rzymu. Stary profesor, stale zamieszkujący we Włoszech, posiada jedyną córkę Romanę, która wbrew temu imieniu i pomimo, że się urodziła i wychowała we Włoszech, jest typem idealnej niemki, pełnej zalet domowych, sentymentu i idealnej dobroci. Po ojcu odziedziczyła miłość swojej przybranej ojczyzny, a wszystkie uczucia ofiarowała cudnemu, jak Adonis, włoskowi, który zresztą od pierwszej chwili przedstawiony jest, jako młodzieniec marnego charakteru, figura niewyraźna, piękny nicpoń, polujący na posażną pannę, łobuz, cynik — jednostka szkodliwa, typ ujemny, ale nie specjalnie włoski.

Młody rzeźbiarz, Henryk Weber, najserdeczniejszy przyjaciel profesora Müllera, bawiący także w okolicach Rzymu i także pod urokiem

włoskiego nieba trwający, spotyka podczas jednej z przechadzek w górach uroczą dziewczynę. Sen o ideale, marzenie o pięknie, któreby wykuć chciał w marmurze, ucieleśnia się pod postacią cudnej Lavinii, kobiety lekkomyślnej, przewrotnej, pospolitej, jakich jest zresztą wiele niekończennie we Włoszech.

Po szeregu pięknych i malowniczych scen, napisanych z niebywałym rozmachem i plastyką, dla których to warto przeczytać książkę — Lavinia modelka, dziewczyna z ludu, zostaje żoną Henryka, a Amerigo Minari, oszust, zięciem profesora Müllera.

Oczywiście, oba te związki w samem założeniu, w samym pomysłcie i zestawieniu typów, nie mogą pod żadnym względem być szczęśliwe. Miłość Romany, sponiewierana, zdradzona i nawet ośmieszona, musi przejść w żal i rozgoryczenie. Dobra i szlachetna kobieta, zniszczona przedwcześnie i złamana bólem, będzie musiała z obrzydzeniem odwrócić się od nikczemnego Ameriga. I Henryk z Lavinia, którą kocha do szaleństwa, nie zazna szczęścia. I jego zniszczy zła, rozpustna modelka. W chwili, gdy na odbudowę zapóźno, i Henryk i Romana zrozumieją, że ulegli jakiejś fatalistycznej sile, która im spopieliła serca, a życie zmieniła w ruinę. Oni wzajemnie byli stworzeni dla siebie. Więc w jeszcze silniejsze kleszcze chwyci rozpacz — ale za późno.

Dopiero na ostatnich kartkach książki romans Henryka i Romany zaczyna być interesującym. Rozłam dwojga ludzi nie stojących na tym samym poziomie kulturalnym był nie tylko przewidzianym, ale i koniecznym. Wiadomo, że prostacka dziewczyna nie może się zespolic duchowo z głębokim artystą; ani nie rozumieją się ulicznik z delikatną i subtelną kobietą. Konflikt uczuciowy zjawia się w powieści Vossa za późno, by nadać właściwą miarę. Nieopanowany a zapatrzonny tylko w swe własne uczucia potępia autor wszystkich i wszystko, co nosi piętno włoskie. Nie przefiltrowane przez mózg, bezwzględne kierują nim uczucia. Głos jego staje się coraz donośniejszym, gniew wzmacnia się z każdym rozdziałem. Coraz przykrzejsze obrazy zepsucia włoskiego rozsnuwa przed nami. Bandyci, złoczyńcy, nędznicy decydują o całej przyszłości narodu. Między nimi a

raczej na ich czele postawił Voss Gabriela d'Annunzio pod nazwiskiem Maria Mariano. Jemu przypisał czyny tak potworne i ohydne, że groza przejmie. Jego, bożyszcze włosków, zmieszał z błotem, krzycząc następnie przez usta jednego z bohaterów: „On jest Włoch największym bohaterem, on plamą Włoch i on włosków przekleństwem“.

Ponure i ciężkie są ostatnie karty tej dziwnej powieści. Wybu-

cha wojna. Amerigo okazuje się szpiegiem. Henryk porzuca niegodną żonę, by stanąć w obronie ojczyzny i umrzeć za nią, umrzeć od pocisku włoskiego. Stary profesor po pięćdziesięcioletnim pobycie w słonecznej Italii, ucieka z Włoch, bo chce umrzeć na swojej niemieckiej ziemi. I autor żegna ostatnią powieścią tylokrotnie opiewane Włochy. Przekleństwem żegna tych, którzy zdradzili.

H. Jelenkiewicz.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

17

Ptactwo umilkło; i zziębłe harcamy dzieciaki, uczone ich rąk — sunęły ze spuszczonej zmęczonych głowami, prawie drżąc. Poczęło się ściemniać. Przyspieszyli kroku.

— Ha!u, czy ty śpisz? — przerwała ciszę Zosia.

— Przecież gdybym spała, to bym nie mogła chodzić.

Spojrzeni na siebie cudnym młodzieńczym uśmiechem, wdzięczni dziewczynce, że dała im powód do tego pierwszego atomu zażyłości.

Pozatem nie przemówili do siebie już ani słówka, jakby przeczuwając, że tak właśnie jest lepiej; że nie może istnieć lepszy epilog tych cudnie przeżytych chwil, jak właśnie ta niebiańska nocna cisza wiejska.

Widząc, że bridy jest już skończony, panna Zosia poczęła usprawiedliwiać swoje opóźnienie.

— Nie nie szkodzi, moje dziecko — politykowała ciotka Benisia, najwidoczniej trochę podrażniona. Śród wszystkich zebranych panował tu widocznie nastrój nieświeży.

— A petite maman — gdzie? — odgadywała coś niedobrego Zosia.

— Mama, trochę niezdrowa, położyła się do łóżka. Otrzymała list niebardzo przyjemny.

— Z Warszawy? — drgnęła, przesuwając ręką po czole Zosia; a Romek jaknajdokładniej dostrzegł, pomimo zwiększającego się zmroku, że silnie pobladła.

— Naturalnie — zatrzęsła się z gniewu ciotka Benisia.

— Pójdę zobaczyć, czy nie śpi, i zabieram Hałę, której dam mleka i ułożę do łóżka.

— Kiedy ja wcale nie jestem śpiącą — broniła się prawie przez sen Hała.

— Dobrze, dobrze — wzięła ją za rękę i żegnała się z całem towa-

rzystwem Zosia — ciocia wybaczy, że i ja już nie wrócę na kolację.

— Jak uważasz, moje dziecko — pocałowała ją w czoło ciotka Benisia; a po jej wyjściu zachnęła się w stronę księdza Zalewskiego:

— Strawić młodość w takich rodzinnych stosunkach z takim ojczyńskim — to także nie do pozazdrośczenia!

A Romek, obliczając niecierpliwie sekundy kolacyi, odetchnął, znalazłszy się nareszcie sam w swoim pokoju.

Teraz zrozumiał już wszystko: A więc i kwiaty potrafią cierpieć!

— A więc ta przyjaciółka, uginająca się pod ciężarem krzywd — to jest jej matka. To dla niej — ta jedyna, ta jego ukochana, wychodowana w kulturze bólu — potrafiła wykreślić egoistyczne pragnienie własnego szczęścia.

A więc i on postara się dorosnąć do niej. Pragnie teraz wyłącznie, aby nie odrzucała jedyne go celu jego życia: przyczynienia się do jej szczęścia; aby pozwoliła mu odchyłać ciernie, zcierać proch z pod nóg, skrzydłami zakryć ją od burz i piorunów. Rzecz postanowiona: On medycyny, dającej byt, regulującej życie — stanowczo już nie rzuca.

Zasypiał z uśmiechem na ustach.

— Moja cudna, biedna, biała lilia!

— Nie, stanowczo, to moje uprzedzenie się do medycyny — było idiotyzmem! Co za uciecha szukać wiatru w polu i hazardować się na jakieś loty, kiedy najlepiej jest żyć na ziemi; rzecz prosta — kiedy się ma dla kogo lub dla czego.

I zasypiał z powtarzanym wółko jednym wyrazem:

— Nenufar. Nenufar!

A Zosia, uspiwszy Hałę, a następnie uspokoiwszy matkę, śród ci-

szy sypialni rozczesywała do snu swoje długie, złotem błyszczące w oświetleniu świecy włosy. I z grzebieniem w ręku, śliczna w swoim rozkwicie wiosny, cała w bieli nocnego stroju — zadumała się. Grzebień wypadł jej na tualetę; złożyła ręce, jak do modlitwy, i westchnęła:

— A tak prosiłam cię, Boże, abyś był lisy, w niebieskich okularach!

Lecz Bóg wybaczył jej ten żal. Wiedział, że kobiety, nawet w najgorętszych modlitwach i prośbach — nie bywają zupełnie szczerze...

VII.

Dni w Jędrzejewicach płynęły, jak w transie: stan, z którego można zdawać sobie sprawę, do jakiego stopnia jest czarowny, jedynie, kiedy się z niego wychodzi i kiedy po latach te cudne minione chwile wspomina się.

Teraz Romek wiedział jedno: że mu jest dobrze i że nie pragnie niczego więcej. Nie obliczał, że oazy życia mają swój kres, że wakacje się skończą.

Podług logiki młodych — szaleństwem jest martwić się o coś, co przyjdzie dopiero za miesiąc. I tak zdobył się z miłości dla niej na trzeźwość nielada. Zdecydował przecież skończyć medycynę, aby mógł zdobyć sobie kiedyś stanowisko, które złoży u jej stóp.

Pozatem żył w bezmyślnym szczęściu, jak żyją kwiaty, motyle i dzieci.

Rare wstawał z piosenką na ustach; a mówiąc ściślej, przy myciu i ubieraniu się pogwizdywał — tak silnie, że ptactwo na gałęziach ogrodu łebki w górę podnosiło i telefonowało do swoich znajomych:

— Co to? Co to? Nie wiesz, co to?

A ciekawsze z pomiędzy ptaszków aż na framugę okna wlatywały i donosiły znajomym:

— Nie wiecie? Ktoś się zakochał!

— Patrzcie, patrzcie! — śmiały się ptaszki.

A Romek tym abonamentowym bywałcom — jeszcze na zakończenie spektaklu uczył ze śniadaniowych bułek wyprawiał. Więc publiczność ptasia była zupełnie zadowolona.

Po śniadaniu Romek, bardzo czynny — biegł do ogrodu, niby od niechcenia, pod jej okna. Wiedział, że jej nie zobaczy, że rolety będą spuszczone. Wszystko jedno. Musiał ją w myśli przywitać i choć trochę zbliżyć się do niej.

Musiał dojść do grządek kwiatowych, zasianych pod jej oknami. Musiał powąchać różę szlamową, roz-

kwitłą jakby pod jej tchnieniem, mającą zapach jakby jej zwykłych perfum.

Aromatem tym woniała jej sukienka, włosy, chusteczka; nie tylko wszystkie kwiaty, lecz cały raj Jędrzejewicki. Zapach ten, niedostrzeżony być może przez nikogo — przenikał go całego na wskroś; zarówno, jak dźwięk jej głosu nie opuszczał jego uszu; zarówno wykrój jej ust w smutnym uśmiechu — nie schodził mu z oczu.

— Niewola! Czarowna niewola! — śpiewała mu dusza.

Każdego więc rana musiał choć raz musnąć ręką szybę, za którą ona oddychała. I rzucał jej codziennie niedostrzeżane przez nikogo:

— Kocham cię.

Teraz mógł już iść spokojnie na lekcję, która go wcale nie nudziła; przeciwnie, odbywał ją z wielką gorliwością, z wiarą w oczekiwane plony. Chłopaki wydawały mu się tak miłe i pojętne! Cóż dziwnego! Toż to byli jej rodzeni bracia!

Po lekcji — kąpiel z uczniami w rzeczulce. Rozkosz nad rozkoszą! A potem obiad z nią! Ho! ho! Usadowiono go dość daleko od niej, tak, że nie mógł rzucić jej ani jednego słowa. Nie boleli wcale nad tem; pocóż im rozmowa? Nawet patrzeć na nią nie mógł. Po co? Czyż nie miał jej w sercu całej, z jej cudnym dziewczęcym spojrzeniem, z gibkością jej ruchu, z harmonijnością całej jej istoty? Może zamknąć oczy, może roleta lub okiennica ich rozdzielać. I tak czuje, że jest razem z nią w raju, w jaki przemienione zostały jej czarodziejstwem Jędrzejewice.

Wystarczy mu, aby mógł porozumiewać się ze swymi kolegami; z owym ptactwem, z którym żyje za pan brat, z każdym kwiatkiem tego raju z osobna, z gwiazdami, stawem i z księżycem...

Jest upojony winem miłości. A ma już taką naturę, że kiedy się upije — nie płacze, jak niektórzy pijacy; lecz jest wesoły i taki szczęśliwy, że miałby ochotę zrywać gwiazdy z nieba; a jeżeli dosięgnąć ich nie może, ha! to i nie trzeba!

I kiedy Romek przypomina sobie dawne życie, to z przed kilku tygodni, zanim ją poznał, i ów pierwszy wieczór w Jędrzejewicach z jego idyotycznymi anegdotkami — aż wstyd mu tej marnej nędzy — o tyle czuje się teraz wyższym, doskonalszym i dostojniejszym.

Podczas niepogody, podług regulaminu Jędrzejewickiego, starsi po podwieczorku najczęściej zasiadają do brydża; dzieciaki przekonują się z mademoiselle Céleste a młodzi grają z sobą w domino; czasami

czytują naprzemian głośno wzięte z biblioteki książki lub gazety; a czasami na bardzo zdezelowanym bilardzie rozgrywają partycję karambola.

Właściwie to wszystko odbywa się nie na tarasie i nie w salonie, lecz w raju przy akompaniamencie złotych harf i chóru aniołów.

Bo przecież na ziemi takie potoczne, zwykłe życie nie mogłoby wprowadzać w tak czarowny stan upojenia i szczęścia, które rozpierało mu duszę?

Lecz o ile deszcz przestawał padać, a z po za szarych pokrowców chmur — poczęły wyglądać atłasowe błyski żółto-pomarańczowego słońca — odbywały się spacerów. Rzecz prosta, Nigdy we dwoje! Wcale nad tem nie boleje. Przecież towarzystwo nie zakrywa mu jej widoku, nie zagłusza dźwięku jej głosu; są razem blisko siebie. Czyż to nie szczyt szczęścia?

Zajeżdżają spacerowe ekwipaże: powóz dla starszych dam i panów, wolant dla młodszych i bryczka dla dzieciarni.

Sadowią się wszyscy, jak się da. Towarzyszy im po za dzieciarnią ciotka Benisia, pani Polewska, ksiądz Zalewski, panny Głebianki, lub mademoiselle, żywiąca dla Romka jak najwyraźniejszą pogardę, węsząca teraz skrzydeł Amora zupełnie gdzie indziej.

Towarzystwo jeździ do lasu na grzyby; czasami po sprawunki do sąsiedniego miasteczka, lub na folwarki, gdzie ciotka Benisia ma zawsze jakieś sprawy.

Po miękkich piaszczystych drogach resory pojazdów uginają się, jak na puchu lub wacie. Uczta cudów niewyczerpana:

W oczach ich zmieniają się nie tylko barwy łąk i cienie gąszczów, lecz i zapachy. Inaczej wonieją złote śród refleksów słońca pola. Inaczej na wązkich drogach śród ciemni piwnicznie chłodnych lasów — pachną sosny.

Romek wyskakuje z powozu; zrywa pęk habrów i maków i, dognawszy pojazdy, zajmuje dawne miejsce, a kwiaty jej wręcza.

Zosia wieje z nich wieńce i rozbawiona — zdoła niemą swą cudną, jasną główkę.

— Czy ładnie mi?

Romek z nadmiaru szczęścia ma ochotę wyć:

— Hej! Ha!

A oczy jego ośmielają się rzucić jej jedyną prośbę, po za którą nie pragną już niczego. A wymowna ta niema modlitwa brzmi:

— Powiedz mi jedno: Czy wiesz?

Opuszczone nagle oczy jej — rzuciły najwyraźniej:

— Wiem.

I Romek jest pewny, że nie zapomni tej wiejskiej przejażdżki do końca życia i że będzie ona najcenniejszą chwilą jego, aż do grobu.

— „Kwiaty nam swatami były” — upojony roi nagle wierszami pieśni.

Teraz humor reprezentowały już

tylko dzieciaki, a rozmowy reszty towarzystwa tworzyły jakby chór. Na tle tej harmonii dostojna para królewicza i królowny, kuszona swatostwem aromatów ciszy wiejskiej i pierwszych gwiazd, ukazujących się na cudnem niebie — odpłynęła na purpurowych skrzydłach Amora w najszczytniejsze królestwo zadumy i milczenia...

Dalszy ciąg nastąpi.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI.

Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

7

SCENA 4.

CIŻ — HAMELBEIN — SŁUŻACY.

(Za drzwiami z lewej strony, w przedpokoju, słychać nagle głośną rozmowę).

ADAM *(w przedpokoju)*. To nie może być! Ja mówię, to nie może być! Pan musi być w domu.

SŁUŻACY *(w przedpokoju — mówi ciszey, tak, że jego słowa ledwo dochodzą)*. Jaśnie pan pojechał do klubu... niedługo wróci...

ADAM *(patrzasa gwałtownie klamką drzwi od gabinetu)*. Dlaczego te drzwi zamknięte? Kto tam jest? Proszę otworzyć. Ja proszę zaraz otworzyć.

(Prezes, wystraszony, podeszedł do drzwi, niezdeterminowany, co uczynić. Antonina przywarła się na swoim stoliku do ściany).

PREZES *(do Antoniny — półgłosem)*. Ja na wszelki wypadek otworzę *(Antonina skinęła głową, prezes ostrożnie otwiera drzwi z klucza i wraz cofa się)*.

ADAM *(wpada, jak z procy, w futrze, jest widocznie podniecony. Mierzy wzrokiem prezesa, potem szuka spojrzeniem po pokoju, — postrzeża ze zdziwieniem Antoninę na stole)*. Co to jest? Co pani tam robi?

(W otwartych od przedpokoju drzwiach staje służący).

PREZES *(ceremonialnie)*. Pan pozwoli sobie przedstawić... Panna Antonina Materasówna, o której pan zapewne słyszał...

ADAM *(roztargniony)*. Bardzo mi przyjemnie... *(Antonina, wciąż na stole, kłania się z wielką dystynkcyą)*.

ANTONINA *(bardzo światowa)*. Właśnie przyglądałam się obrazom pana Leńskiego. Panie prezesie! Proszę podać mi rękę... *(prezes zbliżył się, ona, opierając się na jego ramieniu, zeskakuje lekko ze stołu)*.

ADAM *(zajęty swoją myślą)*. Tu niema pana Leńskiego?

PREZES. Pan Leński został nagle wezwany do Klubu — zaraz ma wrócić.

ADAM. A moja żona?

PREZES. Pani nie widziałem.

SŁUŻACY. Jaśnie pani przed chwilą przyjechała. Przebiera się z innymi paniami.

ADAM *(niezdeterminowany — zakręcił się)*. To ja... także wrócę *(do służącego, z naciskiem)*. Proszę powiedzieć mojej żonie, że ja niedługo wrócę. *(Wychodzi, na progu zatrzymuje się, odwraca i kłania się Antoninie)*. Moje uszanowanie dla pani *(wychodzi szybko)*.

(Służący zamyka drzwi).

SCENA 5.

PREZES — ANTONINA.

ANTONINA *(jeszcze osłupiała)*. Co jemu jest?

PREZES *(tajemniczy)*. Ja już od dłuższego czasu mam wrażenie, że on trochę... tego *(palcem wskazuje na skronie)*.

ANTONINA. Myszuges?

PREZES. Właśnie.

ANTONINA. To nie jest żadne wychowanie, tak dobijać się do cudzego mieszkania. Niechby spróbował do mnie! Jaby mi dała! *(chwila milczenia)*. E, mnie się nudzi to czekanie... *(bierze z fotela płaszcz i narzuca go na ramiona)*. Pójdę do innej kawiarni.

PREZES *(zatrzymuje ją)*. Proszę cię, Tolu... *(z prawej strony wychodzi szybko Leński)*.

SCENA 6.

CIŻ — LEŃSKI.

LEŃSKI *(zbliża się spiesźnie)*. Przepraszam bardzo, prezesie... *(ścisnął go za rękę)*. Wypadł mi niespodziewany interes *(zwraca się swobodnie do Antoniny)*. Jestem bardzo rad, że pani raczyła przyjąć nasze

zaproszenie... *(zatrzymał jej rękę w swej dłoni, mierząc wdzięczną postać Antoniny okiem znawcy — do prezesa)*. Śliczna! Brawo, prezesie! Winszuję! *(z niewolącym uśmiechem do Antoniny)*. Gdybym się pani podobał tak, jak pani mnie się podoba, już moglibyśmy być szczęśliwi.

ANTONINA *(z godnością, ale życzliwie)*. Proszę pana, ja tam nie dbam o takie szczęście.

PREZES. Pan nie spotkał na schodach pana Hamelbeina? Wpadł tutaj, jak bomba...

LEŃSKI *(na razie utknął, potem łze, jak z nut)*. Wszedłem od kuchni, bo z Klubu właśnie przywieźli jakieś zakąski i wino... *(dzwoni na służącego)*.

PREZES *(ciągnie dalej)*. Bardzo podniecony... *(tajemniczo)*. Jemu... coś tego... *(wskazuje na czoło)*.

ANTONINA *(wytworna)*. Cokolwiek myszuges.

LEŃSKI. I poszedł?

PREZES. Wyleciał... Ma niebawem wrócić.

LEŃSKI *(do służącego, który stanął w drzwiach z prawej strony)*. Sprzątnij *(wskazał butelkę i kieliszki)*. I roztwórz drzwi do salonu *(służący kolejno wypełnia oba zlecenia)*. W ten sposób przez szeroko otwarte drzwi w głąbi widać salon, rzeźbiście oświetlony, czterech muzykantów w rogu, przy fortepianie — czasem przesunie się ktoś ze służby).

LEŃSKI *(do Antoniny)*. Pani nie ukaże skarbow, które kryją się pod tym pięknym płaszczem?

ANTONINA *(j. w.)*. Owszem, proszę pana, skoro nadejdzie odpowiednia pora.

PREZES. Pani będzie tańczyć ostatnią swoją kreację: taniec róży, rozkochanej, uwiedzionej i porzuconej przez słowika...

LEŃSKI. Tak! megalians nie mógł zrodzić pomysłnych wyników. To tak samo, jak gdybym ja rozkochał i uwiódł kalarepe...

PREZES *(urazony)*. Przepraszam... to bardzo poetyczna alegoria. Biała róża, symbol czystości i niewinności... *(urywa, bo w tym momencie drzwiami z salonu wchodzi szybko hrabina, również mocno wydekoltowana, prowadząc ze sobą Augusta i Romana, którzy obaj ukostyumowani są we fraki kolorowe w stylu II Cesarstwa)*.

SCENA 7.

CIŻ — HRABINA — AUGUST — ROMAN.

HRABINA *(wita się z Leńskim i prezesem)*. Dobry wieczór, dobry wieczór... Nie spóźniliśmy się?

LEŃSKI. Witam panią.

PREZES (*uroczysty*). Pani pozwoli przedstawić sobie młodą artystkę, pannę Antoninę Materasównę, która zgodziła się wziąć bezinteresowny udział w naszym przedstawieniu...

(*Antonina składa bardzo ceremonialny, niemal dworski ukłon. Hrabina lekko skłoniła głowę, mierzając dziewczynę przez face-à-mains*).

HRABINA (*chłodno*). Bardzo jesteśmy pani wdzięczni.

LEŃSKI (*przedstawia Antoninie młodych ludzi*). Pan Borski, pan Koskiewicz...

HRABINA (*do prezesa, wskazując Borskiego*). Pan Guccio jest dzisiaj bardzo nie w humorze... (*do Augusta*). Czy pana naprawdę co nie boli?

AUGUST (*osowiały, niecierpliwie*). Nic mi nie jest.

HRABINA (*do prezesa*). Coś mu jest, tylko nie chce powiedzieć.

PREZES (*wytwornie oficjalny*). Panna Materasówna zarezerwowała dla nas najnowszą swoją kreację: taniec róży, rozkochanej, uwiedzionej i porzuconej przez słowika (*rozmawiają*).

ROMAN (*pociągnął na przód sceny Leńskiego, cokolwiek wzburzony*). Proszę pana, to jest Antka Moczynos.

LEŃSKI (*zdziwiony*). Jakto, Moczynos?

ROMAN. Ja tak nazwał księżę Misio, bo jak pije wino, zawsze sobie nos pomocy. Ja nawet wcale nie wiedziałem, że ona się nazywa Materac.

LEŃSKI (*naśladuje jego ton*). Proszę pana, cóż ja jestem temu winien?

ROMAN (*nie postrzegł*). To przecież nie wypada, żeby ona tutaj... razem z hrabiną, z naszymi paniami...

LEŃSKI (*poważnie*). Pan się obawia, że to zaraźliwe? (*Roman patrzy nań, nie rozumiejąc*). Że potem hrabina i tamte panie — również będą sobie moczyć nosy w winie?

ROMAN (*urazony*). Proszę pana... (*urwał, bo w tej chwili zbliżyła się do nich Antonina, która już od pewnego czasu niespokojnie spoglądała na Romana, jakby przeczuwając z tej strony niebezpieczeństwo*).

ANTONINA (*do Romana, wytworna*). Nie wiedziałam, że pana tu spotkam.

ROMAN (*dwuznaczny*). Jest to dla mnie również niespodzianka.

(*Leński odchodzi do hrabiny i prezesa*).

(*August usiadł samotnie na uboczu*).

ANTONINA. Czy pan także będzie tańczył? (*Roman potakuje skinieniem głowy; ona obejrzała się, czy nikt nie słyszy, i ciszej*). Korniszon!

ROMAN. Moczynos!

ANTONINA. Tylko przy starym (*spojrzenie w stronę prezesa*) język w cuglach.

ROMAN (*drwiąc*). Wujcio?

ANTONINA. Właśnie.

ROMAN (*sceptyczny*). Cóż ty będziesz pokazywać?

ANTONINA (*obrażona*). Pewnie, że mam więcej do pokazania od ciebie! I wogóle dziwię się, że ciebie puszczają do porządných salonów. Tu trzeba mieć inne maniery!...

ROMAN (*wybałuszył na nią ślepią, ostupiły*). A wiesz, zaimportowałaś mi...

SCENA 8.

CIŻ — PANI DZIDZIA — LAFIRDECKI.

(*Wchodzą z salonu pani Dzidzia, w stroju hiszpańskim, z tamburynek w rękę. Lafirdecki ma nogi nieco krzywe, frak w stanie za długiego, wygląda jak szewc, wystrojony niedzielnie*).

DZIDZIA (*wita się*). Dobry wieczór... dobry wieczór... Ja zrobiłam próbę mojego tańca w domu... Pan Lafirdecki był tyle łaskaw... (*uderza bez żadnego przekonania w tamburyn*). Zobaczcie, jak teraz pójdzie...

PREZES (*wskazuje na Antoninę, która stoi opodal z Romanem*). Panna Materasówna!

(*Antonina składa głęboki ukłon, Dzidzia skinęła lekko głową*).

LAFIRDECKI (*nad miarę słodki i wytworny, stosownie do wersalsko-baletowych obyczajów*). Moje uszanowanie! (*składa głęboki ukłon hrabinie, poczem z większą zamaszystością kłania się panom*). Czołem! (*postrzegł Antoninę, i znów głęboki ukłon*). Pani!

(*August usiadł chmurny na uboczu*).

LEŃSKI (*do Dzidzi*). Jestem pewny, że będzie świetnie. Ale kostiumik! Olé! (*rozmawiają*).

ANTONINA (*na stronie z Romanem, nie mogąc utać wrażenia, jakie na niej uczynił Lafirdecki*). Kto to jest?

ROMAN (*lekceważąco*). Jakis baletnik... Lafirdecki.

ANTONINA (*radośnie*). Poznałam go! Ten, co tańczy w „Zaczarowanym Jeziorze”.

ROMAN (*wybałuszył na nią ślepią*). Więc co?

ANTONINA (*spojrzała nań z pogardą*). Głupi jesteś!

(*Lafirdecki postrzegł wrażenie, jakie wywarł na Antoninie, i posyła jej zabójcze spojrzenia*).

LEŃSKI (*głośno*). No, moi drodzy państwo, zabieramy się do pracy. Pani Dzidzia na pierwszy ogień. (*w stronę salonu*). Muzyka!

DZIDZIA (*ślamazarna*). Nie przypuszczałam nigdy, że można tyle pracować... (*idzie do salonu*).

HRABINA (*do Leńskiego, który chce iść za Dzidzią*). A tamte panie? Jeszcze nie gotowe?

LEŃSKI. Pani Chomicka ubiera się z panią Lolą. Pani Ewa obok.

HRABINA. Pójdę zobaczyć (*idzie na prawo*).

(*Leński przechodzi do salonu*).

Lafirdecki (*bierze pod ramię prezesa, który niekontent jest z tej poufalości*). Szanowny panie prezsuniu! Czy ta pani (*wzrokiem wskazuje Antoninę*), to córka pani hrabiny?

PREZES (*z godnością*). Nie, to panna Materas, młoda artystka, o której panu wspominałem.

Lafirdecki (*lekko rozczarowany*). Myślałem, że hrabianka... Ale materacyk... niczego! (*strzelił palcem przy ustach, jakgdyby korkiem od wina szampańskiego*).

PREZES (*j. w.*). Panna Materasówna odtworzy najnowszą swoją kreację... taniec róży, rozkochanej, uwiedzionej i porzuconej przez słowika... (*Antonina zbliżyła się do nich, w salonie muzyka zaczyna grać melodię hiszpańską, Roman poszedł do salonu*).

ANTONINA (*do Lafirdeckiego — lekko wzruszona*). Dawno pragnęłam pana poznać.

LAFIRDECKI (*wersalski ukłon*). Cały zaszczyt jest po mojej stronie.

ANTONINA. Będę miała wielką tremę!... Tańczyć przed takim artystą!

LAFIRDECKI (*wytworny, acz cokolwiek protekcyjny*). Jeśli kochana pani ma tyle wdzięku w nogach, co w cyferblaciku!... (*Prezes skrzywił się*).

ANTONINA (*zachwycona*). Panie!

LEŃSKI (*w drzwiach salonu*). Panie Lafirdecki! Zaczynamy!

LAFIRDECKI (*z dworskim ukłonem*). Paniusia wybaczy... obowiązkiem... (*skocznie wybiega do salonu*).

PREZES (*niekontent z tego flirtu, do Antoniny*). Chodźmy.

(*Idą do salonu. W gabinecie zostaje tylko milczący w swym kącie August. Leński w drzwiach od salonu przepuszcza Antoninę, wskazując jej miejsce, poczem zatrzymuje prezesa i zawraca go z powrotem do gabinetu*).

Dalszy ciąg nastąpi.

W pewnym mieście amerykańskim.

Na wiele lat przed wybuchem wojny europejskiej w pewnym mieście amerykańskim założył był ktoś przedsiębiorstwo zgola pokojowe: misterny teatrzyk kameralny, w którym grono utalentowanych artystów pisywało się w miarę napływu ciekawych od czterech do dziesięciu razy w ciągu jednej doby, poruszając od dość wczesnego popołudnia a kończąc o bardzo późnej nocy. Teatrzyk był, jak wszystko w Ameryce, wykвитem istotnej potrzeby. Miasto było handlowe i przemysłowe, ruch wrzał na paru ulicach pryncypalnych nieustannie: jedni pracowali od wieczora przez noc całą i ci wychodzili na wywczas w porze popołudniowej, drudzy przeciwnie, dzień cały trawili na pracy i dopiero z nastaniem wieczora mogli chwil kilka, i to niedługich, poświęcić rozrywce.

W krótkim przeciągu czasu, bo już po trzech miesiącach istnienia, powodzenie imprezy stało się tak wielkie, że przedsiębiorca małego teatrzyku był w stanie rozbić trzy istniejące w tem mieście teatry większe, wyławiając siły co popularniejsze i dając im gaże ożtero, bądź pięcio, bądź sześciokrotnie większe od tych, jakie dotąd pobierali.

Pod koniec pierwszego sezonu teatrzyk stanął u szczytu swego tryumfu: już od samego rana (a o wojnie wtedy jeszcze słyhu nie było) publiczność „ogonkowała“ pod drzwiami imprezy, by dostać się na którekolwiek z przedstawień! Tak wielki sukces nie mógł nie obudzić zazdrości — rzecz więc niemiarkowana, że nawet w rozumnej Ameryce musiał znaleźć naśladowców. Miasto przytem, lubo nie było tak duże, jak Paryż lub New-York, było jednak dość znaczne, by niezależnie od ulicy głównej mieć jeszcze jedną ulicę równie pryncypalną i ruchliwą, odpowiednią dla powstania jeszcze jednego teatrzyku „nieustającego“.

Dyrektor pierwszej imprezy, człowiek przenikliwy, przewidział tę ewentualność ze zgola amerykańską proroczą dokładnością.

Niemniej nie przeraził się wcale. Owszem, gdy ze sier zaprzyjaźnionych zainteresowano go ze szczerem współubolewaniem, skądby taki przedsiębiorca-konkurent mógł zdobyć sił do swojej imprezy, skoro najlepsze zostały już przez niego wyłowione, odparł z drugocącą, zimną pośepnością:

— Odemnie. Uczyni to, co się zwykle robi w tych razach: podkupi je.

Posępne słowa dyrektora wnet stały się ciałem. Już nazajutrz około południa zjawił się w biurze dyrekcyjnym jeden z dwu filarów teatru, ulubieńców publiczności, żądając wypłacenia nieprawdopodobnie wielkiej zaliczki. Dyrektor skwapliwie, z niezachwianą flegmą (rzecz działa się w Ameryce) wypisał czek na żadaną sumę. W chwilę potem posłał drugą taką sumę drugiemu z filarów swego teatru, o którym szczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiedział się, iż poprzedniej nocy, dostawszy się „w lepsze to-

warzystwo“, został przez takowe doszczętnie obrany z gotówki.

Zaś wieczorem, bez odrobiny wzruszenia, mówił do swych przyjaciół:

— Dziś teatrzyk mój czynny jest po raz ostatni. I słusznie. Na tej ulicy naszego miasta (żyjemy wszak w kapryśnej dzielnicy nowego świata) nie mamy już nic do powiedzenia. Prędzej czy później skończylibyśmy się.

— Ależ przerywając tak nagle, dyrektor traci sumy nieobliczalne...

— Nieobliczalne straciłbym wówczas, gdybym trwał uparcie na gruzach powodzenia. Ustępując z własnej woli, tracę sumę z góry obliczoną, którą z kolei podniesie na innej ulicy kto inny.

Jak było do przewidzenia, publiczność amerykańska (w czem podobną była do warszawskiej) z furją rzuciła się do nowego przybytku sztuki nieustającej, dziwiąc się sobie, jak mogła przez czas tak długi, i z upodobaniem nawet, uczęszczać na tamtą ulicę!

Przeczekawszy z zimną krwią prawego amerykańina pierwszy okres ferworu, dyrektor zwiniętej imprezy zakolał do wrót sprawiedliwości, wołając o pomstę dla słusznych krzywd swoich. Pozwał przed forum obu ulubieńców. Zakontraktował najlepszych, najgadatliwszych obrońców. Wyrzucił setki dolarów na drukowanie najszczegółowszych sprawozdań z rozpraw sądowych. Przez tygodnie całe, przez całe miesiące trzymał uwagę całego miasta na uwieży. Imionami swoich wrogów, a ulubieńców publiczności, rozpasyonował do białości wszystkich mieszkańców miasta, połowę panien całego Stanu, co najwykwintniejsze mężatki z całego państwa Zjednoczonego... Sprawa przechodziła przez wszystkie możliwe instancje: gdy wreszcie, pod koniec sezonu została finalnie rozstrzygnięta, obaj artyści wyszli z jej pozornego piekła nie tylko zupełnie oczyszczeni, ale w gloryi, w chwale, w reklamie w trójnasób, w czwórnasób pomnożonej! Przyjaciele dyrektora gorzkie czynili mu potem wyrzuty, że strwonił tyle pieniędzy na próżno, *ad usum* delfin-konkurenta!...

Dyrektor zachowywał minę niezachwianie posępną. Ożywił się dopiero na początku sezonu następnego, gdy w godzinę po zakontraktowaniu dużej, pięknie

odnowionej sali na jednym z głównych placów miasta (każde większe miasto, nie tylko w Europie, ale i w Ameryce, posiada obok dwu równoległych najruchliwszych ulic, conajmniej jeden niemniej ruchliwy plac pryncypalny), wezwał był grzecznym liścikiem obu ulubieńców-artystów i zaproponowawszy im królewskie honoraria, podpisał kontrakt na nową w jeszcze większym stylu imprezę na placu, powołaną do zabicia obu konkurencyjnych (pierwsza, po ustąpieniu założyciela, próbowała powstać w czas jakiś) z ulic równoległych.

Jakie były losy tej nowej imprezy, która przez pewien czas znów była jedyną i uwielbianą (o kapryśności pewnego miasta amerykańskiego!), legenda nie mówi; wiadomo tylko, że w krótkim po-tem czasie obaj konkurenci zostali magnatami i przestali handlować sztuką.

Dziś dopiero, po latach wielu, złożyła piosenka plotki wyśpiewuje, uciężne refreny o tem, jak to przyjaźń i porozumienie między dyrektorem-założycielem a jego naśladowcą z ulicy równoległej w najgorętszych nawet momentach walki sądowej nie ulegały ani na chwilę załamaniu!... I przyjaciółom dyrektora-założyciela staje się jasną niezachwiana spokojna pośepność twórcy sztuki nieustającej...

Ale to wszystko działa się w pewnym mieście amerykańskim — — —

U nas, gdyby się mogło zdarzyć coś podobnego — kiedyś po wojnie, w czasach spokojnych — to nie mówiąc już o tem, że konkurenci z ulic równoległych szczerzeby się ze sobą nienawidzili, istniałyby w cudownej harmonii conajmniej trzy naraz takie przedsiębiorstwa, powodując zgodną ruinę trzech conajmniej przedsiębiorców; z artystów zaś jeden napewno pozostałby człowiekiem uczciwym, zaś drugi, bardziej sprytny, po zerwaniu świetnego kontraktu z czwartym przedsiębiorcą i po zapłaceniu ogromnego *penale*, zebrałby zeszkę pieniędzy swoich, swojego przyjaciela, żony, przyjaciela tej ostatniej, szwagra, całej rodziny, i za tę fortunę bez mała założyłby poważne pismo polityczne lub — teatr dla dramatu.

Bo my, polacy, nie mamy poczucia rzeczywistości, nas zadawałają miraż.

B. Górczyński.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

7

Książę wyraził wdzięczność. W głosie jego drżało szczerze wzruszenie. Razumow, nieruchomy, milczący, siedział, wpatrując się w dywan. General zwrócił się do niego.

— O wpół do pierwszej zatem. Do tego czasu, polegamy na panu, panie Razumow. Jak pan sądzisz, czy on może zmienić zamiar?

— Skąd ja to mogę wiedzieć?—

POWIEŚĆ

rzekł Razumow. — Ale tacy ludzie nie zmieniają zwykle zamiarów.

— Jacy ludzie?

— Fanatycy; miłośnicy wolności wogóle. Wolności, przez duże W Ekscelencyo. Wolności, która nie określonego nie oznacza. Wolności, w imię której popełniają się zbrodnie.

General szepnął:

— Nienawidzę buntowników

wszelkiego rodzaju. To już tkwi w mojej naturze!

Potrząsnął zaciśniętą pięścią.

— Trzeba ich tępić, unicestwiać!

— Oni już z góry poświęcają swoje życie — rzekł Razumow z jakąś złośliwą satysfakcją, patrząc prosto w oczy generałowi. — Jeżeli Haldin zmieni dziś zamiar, to Wasza Ekscencyja może być pewnym, że nie dlatego, aby się ocalić ucieczką w jakim innym kierunku. Byłby to dowód, że zamierza dokonać jakiegoś innego czynu. Ale to nie jest prawdopodobne.

Generał powtórzył, jakby do siebie:

— Trzeba ich tępić.

Razumow przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Książę wykrzyknął:

— Co za straszliwa konieczność!

Generał z wolna opuścił pięść.

— Jedyna pociecha w tem, że to nikczemne plemie schodzi ze świata bezpotomnie. Mówiłem zawsze: Jeden bezlitosny, trwały, sprężysty wysiłek, a skończymy z nim na zawsze.

Razumow pomyślał, że ten człowiek, posiadający tyle arbitralnej władzy, musiał wierzyć w to, co mówił, inaczej nie byłby mógł znieść podobnej odpowiedzialności.

Generał powtórzył z nieopisaną zawziętością:

— Nienawidzę buntowników. Och! te wywrotowe umysły! Ci intelektualni rozpustnicy. Moje życie ukształtowało się na wierności. W obronie tego uczucia gotów jestem ponieść ofiarę życia, nawet honoru, gdyby zaszła potrzeba. Ale niech mi kto powie, czy może być mowa o honorze, w stosunku do tych buntowników, którzy samego Boga nie uznają; tych skończonych niedowiarków! Straszno pomyśleć o tem.

Podczas tej przemowy, Razumow, wpatrzony wciąż w generała, dwukrotnie skinął głową. Książę K. ze swoją pańską miną szepnął, wznosząc oczy w górę:

— Hélas!

Poczem spuszczał oczy, z wielką stanowczością oświadczył:

— Ten młodzieniec rozumie i ocenia doniosłość twoich pamiętnych słów, generale.

Powierzchnowość generała z mściwej i zawziętej uczyniła się pogodną.

— Teraz, poproszę pana Razumowa, żeby wrócił do siebie. Proszę także zauważyć, że nie pytam, czy pan Razumow upozorował czemś swą nieobecność wobec gościa. Nie wątpię, że to uczynił zadawalająco. Ale nie pytam. Pan Razumow wzbu-

dza zaufanie. To wielki dar. Nadmieniam tylko, że dłuższa nieobecność mogłaby wzbudzić w zbrodniarzu podejrzenia i skłonić go do zmiany zamiarów.

Wstał i z wyszukaną grzecznością przeprowadził swoich gości do przedpokoju, zapchanego roślinami.

Razumow rozstał się z księciem na rogu ulicy. W powozie słuchał słów magnata, w których wrodzone uczucie walczyło z ostrożnością. Wpoczątkiem było, że książę lęka się, aby Razumow nie żywił nadziei jakichś dalszych stosunków z nim na przyszłość. Ale w głosie, którym wygłaszał życzliwe ogólniki, dzwieżał odcień tliwości.

— Ufam ci całkowicie, panie Razumow — dodał książę.

— Oni mi wszyscy ogromnie ufają — pomyślał Razumow tępo. Ten człowiek siedzący obok niego w karetce napełniał go pewną pobłażliwą pogardą. Prawdopodobnie obawiał się żony, o której mówiono, że była dumna i gwałtowna.

I Razumow pomyślał, jak wielką rolę odgrywała tajemnica w bezpieczeństwie ludzkich egzystencji. Ale chciał uspokoić księcia i z odpowiednim naciskiem oświadczył, że mając niejaki poczucie swych skromnych uzdolnień i pracowitości, ufnie patrzy w przyszłość. Wyraził wdzięczność za doznana obecnie pomoc. Tak niebezpieczne i wyjątkowe położenia nie trafiają się w życiu dwa razy, dodał.

— A ty, znalazłeś się w danym wypadku, w sposób, który daje mi wysokie wyobrażenie o twojej moralnej i umysłowej wartości — rzekł książę uroczyście. — Teraz tylko trwaj — trwaj!

Wysiadłszy z karetki, Razumow ujrzał dłoń bez rękawiczki, wyciągającą się do niego przez spuszczoną szybę. Dłoń ta zatrzymała przez chwilę rękę Razumowa, podczas gdy światło latarni padało na długą twarz księcia i staromodne wąsy.

— Sądzę, że jesteś teraz zupełnie uspokojony co do następstw...

— Po tem, co Wasza Ekscencyja raczyła dla mnie uczynić, mogę tylko polegać na mojem sumieniu.

— *Adieu!* — rzekł książę głosem wzruszonym.

Razumow skłonił się. Karetka pomknęła po śniegu, a on został sam na brzegu chodnika.

Powiedział sobie, że niema już o czem myśleć, i zaczął iść ku domowi.

Szedł spokojnie. Była to rzecz tak zwykła taki powrót do domu po wieczorze spędzonym z kolegami lub gdzieś na tanich miejscach w teatrze.

I wszystko, na co spojrzał, było mu tak dobrze znane i tak nic nie zmienione. Oto róg jego ulicy, a na rogu mętne światło sklepu z prowiantami, o którym wiedział, że właścicielką jego była tłusta niemka. Za szybkami widać było bochenki stęchłego chleba, wianki cebul i krążki kielbasy. Właśnie zamykano. Kławy, chorobliwy subiekt, tak dobrze znany mu z widzenia, brodził po śniegu, piastując wielką, drewnianą okiennicę.

Nic się nie zmieniło. Oto i brama jego domu otwiera swe ciemne wnętrza, przeblaskujące słabo oświetleniem klatki schodowej.

Poczucie ciągłości życia przeniknęło na wskroś Razumowa w szczególnie kojący sposób. Nadzwyczajne wypadki swoją drogą, a bieg powszedniego dnia swoją. Jutro będzie takie same, jak wczoraj.

— Sądzę — myślał Razumow — że gdybym tak zamierzał palnąć sobie w łeb w mieszkaniu, siedłbym po schodach równie spokojnie, jak teraz. I cóż począć na to. Co być musi, to musi. Rzeczy nadzwyczajne zdarzają się. Ale gdy się zdarzyły, trzeba z niemi skończyć. I z tem również.

Otworzył drzwi z klucza, wszedł spokojnie i zamknął za sobą starannie.

Chwilę stał w progu wstrzymując oddech. W mieszkaniu panowała najgłębsza cisza. Razumow minął pusty przedpokój i wszedłszy do pokoju skierował się ku stołowi, szukając omackiem zapałek. Haldin nie dawał znaku życia. Czyżby spał tak mocno?

Potarłszy zapałkę, Razumow spojrzał w stronę łóżka. Haldin leżał, jak poprzednio, tylko ręce podłożył sobie pod głowę. Otwartemi szeroko oczyma wpatrywał się w sufit.

Razumow podniósł zapałkę w górę i przy jej świetle ujrzał delikatnie wyrzeźbione rysy, białe czoło i jasne włosy na tle białej poduszki. I nagle przemknęła mu przez głowę myśl:

— Przeszedłem mu po piersiach.

Patrzył wciąż, aż zapałka zgasła; poczem wydobyl drugą i zapalił lampę w milczeniu, nie spoglądając już w stronę łóżka.

Zdjął płaszcz i zawieszał go na haku, gdy usłyszał, że Haldin westchnął głęboko i znużonym głosem zapytał:

— No, cóż? Cożeście uradzili?

Razumow doznał tak silnego wzruszenia, że musiał oprzeć się o ścianę. Ogarnęła go jakaś szatańska przemożna chęć powiedzenia mu: „Wydałem cię“, ale pohamował ją i rzekł spokojnie:

— Zrobione.

I znowu usłyszał, jak Haldin westchnął:

— Taki kawał drogi musiałeś iść — szepnął tenże ze smutkiem. — I na taką niepogodę. Straszna rzecz!

Razumow odpowiedział energicznie:

— O! tak! To było straszne!

I aż się wzdygnął. Haldin westchnął po raz trzeci; następnie rzekł:

— Widziałeś zatem Ziemianicza, bracie?

— Widziałem go.

Tu Razumow, przypomniawszy sobie, ile czasu spędził z księciem, uznał za rozropne dodać:

— Musiałem czekać dosyć długo.

— To typ — prawda? Coś nadzwyczajnego, jakie poczucie konieczności swobody ma ten człowiek. A jego niektóre określenia: takie proste, a takie trafne; takie właśnie, na jakie tylko lud w swej pierwotnej mądrości zdobyć się umie. O! to typ.

— Ja, uważasz, nie miałem sposobności — mruknął Razumow przez zęby.

Haldin wciąż wpatrywał się w sufit.

— Widzisz, bracie, ja tam często bywałem ostatnimi czasy w tym domu. Zanosilem mu książki, broszury. Wielu z tych biedaków, którzy tam mieszkają, umie czytać. I widzisz, na ucztę wolności trzeba szukać biesiadników po zaułkach i wertepach. A co prawda, to tak dobrze, jak mieszkalem tam w końcu. Sypialem czasem w stajni. Tam jest stajnia...

— Tam właśnie widziałem się z Ziemianiczem — rzekł Razumow łagodnie. I dodał z rodzajem drwiącej pogardy: — Dobrze mi zrobiła ta rozmowa. Wyszedłem z tamtąd znacznie uspokojony.

— O! to człowiek! — ciągnął dalej Haldin zwolna, nie odrywając oczu od sufitu. — Widzisz, ja się z nim dobrze poznałem. Od kilku tygodni, to jest od czasu, kiedy zdecydowałem się uczynić to, co trzeba było uczynić, odosobniłem się. Wyprowadziłem się od tej poczciwej wdowy, od której odnajmowałem pokój. Po cóż miałem narażać tę biedaczkę na jakieś przykrości z polityką. Przestałem widywać się z kolegami.

Dalszy ciąg nastąpi.



Poezye M. Konopnickiej.

Osiem tomów poezyi Maryi Konopnickiej opuściło prasę drukarską jeszcze przed wojną. Zjawily się jednak dopiero teraz w sprzedaży wskutek koniunktury komunikacyjnych. Pierwszy raz zebrano całkowity dorobek poetki Konopnickiej i uprzyświecono go czytającej publiczności. Wydawnictwo opracował prof. Jan Czubek. Słowo wstępne napisał Henryk Sienkiewicz.

Edycja ta daje wyczerpująco a fachowo opracowane liryki Konopnickiej. Pokazuje twórcze oblicze autorki „Pana Balcera” w oświetleniu jej własnem, bez dytyrambów bezmyślnych chwalców i żółci zawistnej, a stronniczej. I dopiero teraz można ocenić w całej rozciągłości górnosc jej lotów i krystaliczną czystosc jej natchnień.

Zrosniona sercem i mózgiem z czasem beznadziejności życia polskiego, idealizmem swoim wydzwignęła świat pięknych wizji, które jak słup ognisty iść winny przed narodem polskim. Chciała opancerzyć pierś naszą pieśnią swoją płomienną i wołała głosem roty na walkę o cześć, dostojność i godność imienia polskiego. Wyśpiewała szmer tajony o prześladowanej duszy zbiorowej, marzącej w podziemiach, o chwale rodu piastowiczów i choć przez gwałt wołała ku „grekom”, ramiona swoje wyciągała ku nizinom nadwiślańskim. Był czas bowiem, że tylko Grecyi chwałę i wolność mógł śpiewać poeta polski. Konopnicka w tym okresie swojej twórczości wznosiła pomniki liryczne dla Hellady, ale zbiorowość polska umiała i wiedziała, jak należy je czytać.

Wrażliwość bowiem miała przedziwną Konopnicka na troski dnia powszedniego. Te wiersze jej aktualne mówią głosem tak donośnym, że i dziś czyta się je z jednakowym serca biciem. Sięgają w krwawiącą ranę stosunków sąsiedzkich i aż do szyderstwa, oburzenia i świętego gniewu rozplamieniają świadomość naszą zbiorową. Poezye Konopnickiej dla pokolenia współczesnego są spowiednikiem nie tylko przeszłości: drży w nich nuta i naszego Dziś.

W zbiorowym wydaniu liryków Konopnickiej prof. Jan Czubek zamieścił wiersze ze spuścizny autograficznej, czasopism i zbiorów książkowych, które zjawily się za życia poetki. Prof. Czubek miał pracę nielada. Trzeba było każdy wiersz sprawdzić i nieraz przewzycięzać trudności: czy zostawić brzmienia książkowe, czy też dać według redakcyi czasopiśmienniczej, lub też autografowi przyznać prawo decyzji. Z tej racji prof. Czubek tom każdy opatrzył sumiennie opracowanym dodatkiem krytycznym. W dodatku tym podano wszystkie wątpliwości do wiadomości ogółu. Dla przeciętnego czytelnika jest to wprawdzie balast zbyt ciężki, ale dla pracownika literackiego wydawnictwo w ten sposób uskutecznione jest kopalnią metodycznej, cierpliwej i pietystycznej źródłowości. Źródłowość ta przechodzi niekiedy w zbytnią pieczołowitość. Odnosi się to do objaśnień słów poszczegół-

nych. Wydawnictwo dla inteligencji nie powinno być przeładowane tego rodzaju wyjaśnieniami, gdyż należy jednak przypuszczać, że inteligent polski wie, kim był Michał Anioł, Torquatto Tasso lub Ludwik Ariosto.

Wyjaśnienia filologiczne są bardziej na miejscu. Polski przeciętny czytelnik przez te wiadomości wyjaśni sobie nieraz wątpliwości co do formy użycia wyrazu a niekiedy i co do treści. Konieczne jest wyjaśnienie np. przy słowie „napróżnik” — część od drzwi nad progiem, nad drzwiami, gdyż na pierwszy rzut oka słowo to nie tłumaczy się zbyt jasno. (Tom II. Str. 178). Niekiedy też zdarzy się wyjaśnienie niepełne: prof. Czubek przy wierszu „A kiedy idziesz...” tom VI str. 169 wyjaśnia zwrot: „wie ptak, gdzie lecieć w jóg”, pod słowem „jóg” pisze: jóg (z chorwackiego) — południe. Czemu nie z rosyjskiego? Źródłowość więc została nie pełnie dla laika wytłumaczony.

Są to jednak drobnostki w porównaniu z ogromem żmudnej pracy, jaką wykonał prof. Jan Czubek. Gdyby tak chciało każdą drobnostkę ważną na szali zasługi — to nie ostałby się żaden ludzki wysiłek. Praca zaś prof. Czubka jest najwyższego uznania godna, choć zdarzy się niekiedy małe przeciągnięcie w metodzie. Poezye Maryi Konopnickiej dzięki piętyzmowi wydawcy dostają się w ręce polskiego ogółu w formie w zupełności przygotowanej do tego, by można było sobie wytworzyć nieuprzedzony krytyczny sąd.

Konopnicka za życia miała czytelników i wielbicieli swojego talentu całe legiony. Zbiorowe wydanie jej liryków przypomni im słodkie chwile wzlotów i ekstaz, jakie przeżyli pod akompaniament jej liry. Liryki Konopnickiej zresztą wmurowały się w pamięć naszego narodu i stoją godnie obok pieśni największych naszych artystów słowa, należy się im więc i miejsce... w bibliotekach. Jeżeli nas nie stać na kult żywy jej umiłowań, jeżeli orli jej, podniebny lot nie jest za uciążliwy dla zwykłego zjadacza chleba.

Może też teraz zjawi się wyczerpująca monografia poetki i literackiej działalności Maryi Konopnickiej?

Eust. Czekalski.

Legionowo.

Sierżant Legionów polskich, p. A. Dulęba, wydał zbiór swoich fotografii w pięknie pomyślanym albumie p. t. „Legionowo”. Są to zdjęcia z Legionowa, stacyi Legionów, którą dzwignęli sobie trudem i pomysłem nasi dzielni żołnierze. Zbudowali wśród pustkowia na wschód od Mamiewicz całe osiedle i w dodatku zrobili to niezmiernie estetycznie i stylowo. Wstęp do tego albumu napisał p. Teslar, pp. wojska polskiego.

